

„Piłka jest okrągła a bramki są dwie”

Po ponaddwupółmiesięcznej przerwie drużyna futbolowa ekspierwszoligowca, Sebastiana Pohybył poniewczasie ociężałe kroczy ku nowo otwartej murawie, otoczonej mur-betonem. Ichmościowie, w granatowo – złotych strojach, stoczą dziewięćdziesięciminutowy bój z kolektywą Tomasza Herszta – pseudo-Polaka, grającego niegdyś w brzyskorszystewskim klubie sportowym „Hocki – Klocki” (niedaleko Żnina). „Hersztowcy”- ilekroć pojawiają się na boisku – wygrywają. Mówią, że swój sukces od dawien dawna zawdzięczają „pitej na czczo herbacie z hibiskusa”.

Jest pół do ósmej. Pucółowaty sędzia, który aż szczerwieniał z wysiłku co rychłej rzępoli gwizdkiem i chybcikiem bieży boisko. Kapitan granatowo – złotych, Jerzy Gzęgżółka od niechcenia hyca ku nowohucianinowi Adamowi Rzezimieszkowi – kapitanowi drużyny Herszta, ubranemu w jasnoczerwony strój (kolor ubioru jego zespołu z żorzety). Rozentuzjazmowany hurm hałasuje i pohukuje niecenzuralnymi hasłami, wymachując przy tym chorągwiami, od czasu do czasu robiąc „falę meksykańską”. Nagle słyhać przeciągły gwizdek sędziego – „Starcie tytanów” – rozpoczęte.

Gracz jaskrawoczerwonych chyżo czmychnął hulaszczemu przeciwnikowi, który omalże nie wyrznął na rozżarzoną słońcem trawę i raz-dwa zniknął za horyzontem. Nie nazbyt hoży zawodnik granatowo – złotych ciężko haruje, aby zapanować nad chaosem, chytrze odbiera pędzącą piłkę przeciwnikowi, który zaczął grać nie fair. Adam Rzezimieszek nie czeka na łut szczęścia i jako tako ratuje honor drużyny – wykopuje piłkę hen, hen daleko. Hartowny bramkarz granatowo – złotych z Bylekąd, który wypija hektolitry coca-coli, pokazuje harce i łapie piłkę. Rzezimieszek zmitrężył swój strzał. W okamgnieniu mija pierwsza połowa meczu. Piłkarze udają się na piętnastominutową przerwę, aby wzmóc siły.

Na boisko wkraczają obie drużyny. Na twarzy obrońcy ciemnozielonych – chędogiego Bohdana Cherubina widać cherlactwo. Piłka znów jest w grze. Zawodnik Herszta co nieco chachmęci i chełpi się (co raczej nie przystoi „staremu wyjadaczowi”). Trupio błądy podopieczny Pohybla chyłkiem biegnie z odwetem i chytrze odbiera piłkę. Ni stąd, ni zowąd naprzeciw niemu ukazuje się zsiniały lewoskrzydłowy ciemnozielonych, Jerzy Gzęgżółka wtenczas zmańdrał z nagłą i próbuje zsynchronizować ruchy. W try miga przejął piłkę, ale skądinąd, półświatomie biegnie Mazur – Albrecht Hołubiec (kupiony przez klub za dwupółmilionowy kontrakt, obdarowany stutysięczną gażą), któremu bądź co bądź drużyna zawdzięcza ówczesne zwycięstwa. Gzęgżółka rzezi z wyczerpania, ale nie chce kolejnego blamażu. Mecz- chcąc nie chcąc- dobiega końca. Jerzy pędzi niczym struś Pędziwiatr i na chybił trafił oddaje strzał, piłka z impetem wpada do bramki. Czy to

primaaprilisowy żart? Słysząc donośne „Hura!”, Gzegżółka tryumfuje, przeraźliwie krzycząc: „Zwycięstwo!”, jeszcze nieraz, ani nie dwa o tymże żwawym warszawiaku usłyszymy.